

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

Chrześcijaństwo przenika duszę do samej podszewki, dociera do najdalszych zakątków duszy, a tym samym uwalnia ukryte w głębi istności: zarówno te anielskie, jak i demoniczne – pisze prof. Bartosz Jastrzębski w odpowiedzi na list Krzysztofa Dorosza

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

Drogi Krzysztofie,

„Gdzie iść po śmierci?” – nie ma, jak myślę, poważniejszego pytania. Podobnie sądził chyba Camus, gdy w pierwszym zdaniu swego *Mitu Syzyfa* stwierdzał, że samobójstwo jest jedynym prawdziwym problemem filozoficznym. Gdzie po śmierci to wszak inaczej – jak żyć? W tym zapytywaniu streszczają się przecież wszelkie nasze eschatyczne lęki i nadzieje, w nim krystalizują się i z niego wypływają najważniejsze zagadnienia metafizyczne: pytanie o Boga, o sens i prawdę, o dobro i sprawiedliwość, o wolność i odpowiedzialność, o miłość i samotność – i wiele innych. To, co jest po śmierci – albo czego właśnie po niej nie ma – nadaje bowiem dopiero ostatecznie sens naszemu życiu tu oto, w tej pochmurnej, pełnej trosk doczesności. Można próbować pomyśleć

całkowicie immanentny sens życia, niezależny od wszelkiego „po”, tak jak próbowali to uczynić liczni myśliciele od Epikura począwszy, przez Spinozę, a na Heideggerze skończywszy.

Mnie jednak ich próby nie przekonały, bo myślę, podobnie jak św. Augustyn, Eckhart czy Blake, iż nic mniej niż wieczność nie może człowieka zaspokoić – a więc nadać życiu sens, bez którego zaspokojenia nie da się wszak pomyśleć. Najwyższym dobrem i ostatecznym celem dla intelektu jest bowiem prawda – jak nauczał św. Tomasz. „Ostateczny cel człowieka jest kresem jego naturalnego pragnienia, tak, że osiągnąwszy go nie szuka już niczego innego. Jeżeli bowiem jeszcze do czegoś dąży, to znaczy że jeszcze nie osiągnął celu, w którym ma spocząć. Nie jest to jednak możliwe, by zdarzyło się to w obecnym życiu”[1] – powiada Akwinata, a nieco dalej dodaje: „Ponieważ oglądanie substancji Bożej jest ostatecznym celem każdej substancji rozumnej, jak wynika z tego, co powiedziano, naturalne zaś pragnienie każdej rzeczy zostaje zaspokojone, gdy osiąga ona swój cel ostateczny, musi być tak, że naturalne pragnienie substancji rozumnej, która ogląda substancję Bożą, zostaje w pełni zaspokojone. Pragnieniem naturalnym intelektu jest zaś poznanie gatunków, rodzajów i właściwości wszystkich rzeczy oraz całego porządku wszechświata [...]. Ktokolwiek zatem ogląda substancję Bożą, poznaje wszystkie powyższe zagadnienia”[2].

Tak tedy bez prawdy – także o tym, co po śmierci – owego najwyższego dobra, spokoju i szczęścia intelekt nie osiąga. Pozostaje niepewny i niezaspokojony, wciąż ruchliwy i nerwowo poszukujący. Istnienie ludzkie z konieczności przeto pozostaje naznaczone jakimś smutkiem, nostalgią i melancholią w obecnym stanie świata. Tęsknimy bowiem za prawdą, dobrem, spokojem, pewnością, nie mogąc ich w tym życiu

ostatecznie osiąść. I rzeczywiście niewiele nam tu pomóc może nawet najmędrszy z filozofów, Immanuel Kant, dla którego pytanie o „po śmierci”, a więc o nieśmiertelność duszy, jest jeno bladym, chudym i bezkrwistym „postulatem rozumu praktycznego”[3].

*Bez prawdy – także o tym, co
po śmierci – owego
najwyższego dobra, spokoju i
szczęścia intelekt nie osiąga*

Urzeczywistnienie w
świecie najwyższego
dobra jest
koniecznym
przedmiotem woli
determinowanym
przez prawo moralne

– powiada królewiecki mistrz. Jednak pełna zgodność woli z prawem moralnym może być uzyskiwana jedynie w niekończącym się postępie, zaś „ten niekończący się postęp możliwy jest jednak tylko przy założeniu nieskończenie trwającego nadal istnienia i osobowości tej samej rozumnej istoty (co się nazywa nieśmiertelnością duszy). A zatem najwyższe dobro jest praktycznie możliwe tylko przy założeniu nieśmiertelności duszy; tym samym jest ta [nieśmiertelność], jako nierozzerwalnie związana z prawem moralnym, postulatem czystego rozumu praktycznego”[4].

Czy to rozumowanie jest dla nas dziś przekonujące? Czy uśmierza metafizyczną trwogę? Czy jesteśmy ukojeni tym swoistym dowodem, który ma potwierdzać, iż po śmierci dusza nasza nadal będzie trwać, bo wciąż zajęta będzie realizacją najwyższego dobra? Chyba raczej nie – nie przekonywał ten tok myślenia Słowackiego, tym bardziej nie zniewala nas dziś, gdy w ogóle coraz trudniej nam przypisać jakąś

sensowną treść pojęciom takim jak prawo moralne czy dobro najwyższe, a świat współczesny przekonuje wciąż uporczywie, że są to tylko jakieś antykwaryczne mrzonki...

Choć zatem pytanie o pośmiertne nasze losy jest pytaniem fundamentalnym – rozum jest tu bezradny. To właśnie pojął Kleist. Pojął, po czym zareagował w sposób właściwy swej epoce i własnemu temperamentowi. My dziś raczej odlegli jesteśmy od tego rodzaju szalonych, romantycznych porywów – większość ze współczesnych przyjmuje prawdę o ludzkiej, fundamentalnej, egzystencjalnej niewiedzy ledwie ze wzruszeniem ramion, a niekiedy wręcz z niecierpliwym prychnięciem, że ktoś w ogóle wymaga jeszcze od instrumentalnego i technicznego rozumu odpowiedzi na tak niepraktyczne kwestie.

Tymczasem Kleist – w poszukiwaniu odpowiedzi – zawiedziony Kantowskim Rozumem bez wahania rzucił się w otchłanie Nierozumu. I przepaście te go w końcu wciągnęły, tak jak pochłoneły Nietzschego, Hölderlina, Novalisa i wielu innych. Tak, myślę, że istotnie można tu mówić o zasadzie enancjodromii, zasadzie tak drogiej nie tylko Heraklitowi, ale też bliższemu nam znacznie Jungowi, który postrzegał w niej jeden z najbardziej istotnych i nieuchylalnych mechanizmów ludzkiej psyche – wedle tejże reguły za wszelką psychiczną jednostronność płaci się przerażająco wysoką cenę duchowej degradacji i wewnętrznego skarlenia. Choć nie jestem jakimś wielkim zwolennikiem Michela Foucaulta, uważam, iż w znacznej mierze trafnie opisał on ową eksplozję Nierozumu – będącą efektem hipertrofii oświeceniowego Rozumu – w swojej Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu.

Oświecenie, dążąc do wydestylowania „rozumu czystego”, stopniowo rozszerzało sferę tego, co się w jego „czystości” nie mieściło.

Rygorystycznie pojmowana norma racjonalności wyznaczała coraz to potężniejsze obszary tego, co uznano za mroki nierozumu. To oświecenie zatem poczuło się zmuszone wprowadzić pojęcie choroby psychicznej (jakże pojemne, a przez to łatwe do instrumentalizacji!), bez którego kultura i społeczeństwo średniowieczne świetnie sobie przecież radziły.

*Rygorystycznie pojmowana
norma racjonalności
wyznaczała coraz to
potężniejsze obszary tego, co
uznano za mroki nierozumu*

Tyle że rozum
średniowieczny,
nawet w swej
scholastycznej, dość
rygorystycznej
postaci, pozostawiał

nierozumowi właściwą mu duchową i społeczną przestrzeń. Przestrzeń zarezerwowaną dla dziwacznych objawień szaleńców Bożych, opętańców, mistyków, dla pasażerów statków głupców, obłąkanych tancerzy i rycerzy, wszelkiego rodzaju słupników, biczowników, wizjonerów, skrajnych ascetów, szalonych mnichów, wiecznych pielgrzymów, błędnych wędrowców itd. Wszyscy oni mieli swoje miejsce w cywilizacji chrześcijańskiej – nikt bowiem nie mógł być do końca pewny, czy głos szaleńca nie jest jednak głosem Bożym, czy rzekomy obłąd nie jest w istocie wyższą, duchową mądrością... Nie brak przecież opisów dość nietypowego – łagodnie rzecz ujmując – zachowania wielu świętych, także tych, których uznano za doktorów Kościoła – jak choćby św. Teresy z Avili.

A spójrzmy na św. Szymona (Starszego) Słupnika, na św. Benedykta z Nursji, św. Germana z Paryża, na św. Hildegardę z Bingen, św. Franciszka czy św. Katarzynę Sieneńską – wszyscy oni żyli w sposób daleko odbiegający od tego, co uznawano wówczas za normę – pomyśl, cóż by powiedziano o nich dzisiaj! Dogmatycznie poświadczony i niepowątpiewalny prymat wiary nad rozumem powodował jednak, że potężne emocje religijne, ekspresyjne twory wyobraźni, sny, tajemnicze, nieraz mroczne i „psychodeliczne” widzenia, przemożne odczucia i intuicje bądź dziwne porywy nadzwyczajnej aktywności były traktowane poważnie, choć równocześnie poddawano je roztropnej kontroli ze strony rozumu.

Z kolei nienaruszalny korpus sacra doctrina zapobiegał nadmiernym ekstrawagancjom tego drugiego, studził jego demoniczną chęć do dominacji nad wszystkim i wszystkimi, zmuszał do kornego pokłonu przed Bożą Tajemnicą. W taki, jak sądzę, sposób chrześcijaństwo trzymało na uwięzi „ciemne, irracjonalne siły”, o których wspomina Dawson – roztropnością i równowagą, swoistą *coniunctio* przeciwieństw psychicznych. Oto bowiem psychologiczna i duchowa jednostronność jest zawsze czymś szkodliwym, prawdziwą zaś sztuką jest maestia linoskoczka, oscylującego między otchłaniami jednako zabójczych biegunów.

Wyznam Ci szczerze, iż przez lata wręcz drażnił mnie ten roztropny umiar i poszukiwanie środka charakterystyczne dla katolicyzmu – bardziej imponowały mi skrajności, już to gnostycyzmu, już to fideizmu czy radykalnego mistycyzmu. Skłaniałem się duchem ku niebezpiecznym ścieżkom owych „religijnych kaskaderów”, „sacro-radykałów”, ryzykujących wszystko i wszystko stawiających na jedną

*Chrześcijaństwo trzymało na
uwięzi „ciemne, irracjonalne
siły” roztropnością i
równowagą, swoistą
coniunctio przeciwieństw
psychicznych*

kartę –
wyskakujących bez
wahania za burtę
normalności w
poszukiwaniu Boga.
Ich radykalizm
wydawał mi się
bardziej autentyczny
niż zrównoważona i
chłodna phronesis

ortodoksji. Do dziś mam dla owych Bożych szaleńców wiele sympatii i zrozumienia. I chyba również ma do nich szczególny stosunek sam Zbawiciel. Tak przynajmniej rozumiem ową słynną perykopę (Ap 3, 15–16):

*Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.
Obyś był zimny albo gorący!
A tak, skoro jesteś letni
i ani gorący, ani zimny,
chcę cię wyrzucić z mych ust.*

Z drugiej jednak strony, jak wspomniałem, doceniłem w końcu ową szlachetną *prudentia*. Oto bowiem chrześcijaństwo przenika duszę do samej podszewki, dociera do najdalszych zakątków duszy, a tym samym uwalnia ukryte w głębi istności – zarówno te anielskie, jak i demoniczne. W przedwiecznym świetle Ewangelii odsłaniają się najdalsze horyzonty dusz ludzkich z całą swoją – nieraz cokolwiek przerażającą – zawartością, z całym bólem, grzechem i złością. Spoglądając na dzieje ludów, ale też wielkich indywidualności, bez trudu dostrzegamy fatalne skutki duchowych monomani i

fanatyzmów. Trudno przecenić dojrzałą mądrość słynnych słów z encykliki *Fides et ratio*: „Wiara i rozum są jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się do kontemplacji prawdy”[5].

Św. Jan Paweł II dobrze wiedział, iż z jednym tylko skrzydłem nieuchronnie spadamy w otchłanie bądź to lodowej pustyni czystego rozumu, bądź ognistych płomieni emocjonalnego rozchwiania – przy czym ginie marnie i w jednej, i w drugiej. Tak więc jest wiele racji w przekonaniu, iż to właśnie oświeceniowy rozum – okreśną niejako drogą – uwolnił siły, które pustoszyły w XX wieku Europę, a po części pustoszą ją do dziś. Lekarstwem musiałyby tu być chyba powrót do klasycznej edukacji, także moralnej, oferowanej zarówno przez tradycję antyku pogańskiego (Platon, Arystoteles i stoicy przede wszystkim – klasyczna *paideia*), jak i chrześcijaństwa. Próżne to jednak – obawiam się – oczekiwania. Obecnie edukacja zdaje się bowiem zmierzać we wprost przeciwnym kierunku – ku „produkowaniu” wysoce wyspecjalizowanych trybików ekonomicznego Lewiatana.

Nawet sami studenci – zwłaszcza oni – nie pojmują, jak wielka zagraża im degradacja, jak ogromna krzywda dzieje im się, jako że nie mają nawet szansy otrzymać prawdziwej edukacji – chyba że sami jakimś cudem nauczą się ją zdobywać. Tymczasem właściwie rozumiane cnota (*arete*) i roztropność, a przy tym solidna wiedza filologiczna, historyczna, filozoficzna i religijna mogłyby pomóc przyjąć postawę unikającą groźnych jednostronności i wypływających z nich społecznych i moralnych patologii. Nie sądzę również, byśmy byli w stanie wymyślić coś lepszego niż to, co oferuje nam dawna myśl chrześcijańska, twórczo obejmująca w sobie dziedzictwo pogańskiej Grecji i Rzymu. Wszak nikt nie zstępuje dziś tak głęboko w otchłanie duszy ludzkiej, jak czynili to chrześcijańscy mędracy, mistycy i asceci.

Jakże płytka wydaje się lwią część psychologii, pedagogiki i antropologii przy ich spostrzeżeniach i cennych – choć niełatwych w realizacji – radach! Tak więc jeśli chcemy wychować Człowieka – zaufajmy ich doświadczeniu i roztropnym radom. Innymi słowy, chodziłoby o powrót do czerpania ze skarbcza starożytnej mądrości życiowej i etycznej – nie zaś uporczywe negowanie jego wartości. Czy jednak taki powrót jest możliwy – tego nie wiem. Potencjał autodestrukcyjności człowieczej zdaje się być niewyczerpany – choć z drugiej strony wciąż istniejemy, co trudno wytłumaczyć sobie inaczej niż nieskończenie litościwą *pronoia Theou*.

Serdeczności,
Bartek

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

[1] św. Tomasz z Akwinu, *Summa contra gentiles*. Prawdy wiary chrześcijańskiej, przeł. Z. Włodek, W. Zega, Poznań 2007, s. 136.

[2] Tamże, s. 165.

[3] Por. I. Kant, *Krytyka praktycznego rozumu*, przeł. J. Gałęcki, Warszawa 1984, s. 197–200.

[4] Tamże, s. 198.

[5] Jan Paweł II, *Fides et ratio*, Wrocław 1998.